

Karnawał krwawego absurdu

Krytycznie o filmie Jana Komasy *Miasto 44*

Robert Jurszo, historyk idei, publicysta historyczny

Na początku postawię sprawę jasno: to nie jest dobry film. *Miasto 44* Jana Komasy jest zlepką przeciętnego kina wojennego (z dobrymi efektami specjalnymi), niespójnego scenariusza i płytkich portretów psychologicznych bohaterów. Dlatego o „dziele” Komasy można napisać wiele złego, ale zrobili to za mnie inni, więc sobie daruję. Chcę natomiast zwrócić uwagę na to, że jest w tym filmie coś, co sprawia, że – mimo wszystko – warto go obejrzeć. Tym czymś jest próba krytycznego podejścia do utrwalonego w polskiej pamięci historycznej mitu Powstania Warszawskiego. A to wydaje mi się szczególnie ważne dla edukacji historycznej najmłodszego pokolenia widzów oraz współczesnej odpowiedzi na pytanie: czym powinien być patriotyzm?

Młodzieńcza przygoda

Polska kultura – również ta popularna – ukształtowała pewien wizerunek Powstania Warszawskiego, który nazwałbym „mitem młodzieńczej przygody”. W świetle tej opowieści, Powstanie było erupcją czystego ducha młodzieży, która – niesiona patriotycznym podmuchem – wystąpiła przeciwko okupantowi, bo inaczej nie mogła.

W przerwach między kolejnymi westernowymi strzelaninami piło się wódkę, obściskiwano dziewczyny, paliło służki i pozowało z uśmiechem do zdjęć. Jednym słowem – było klawo.

Na ten wizerunek nakłada się niepisany zakaz krytykowania Powstania Warszawskiego jako aktu politycznego i militarnego. Nie powinno więc dziwić, że takie książki, jak choćby *Obłąd'44* Piotra Zychowicza – które w sposób bezpartdownowy traktują ten militarny zryw raczej jako akt szaleństwa, aniżeli wynik rozsądnej politycznej kalkulacji – w dalszym ciągu spotykają się z wrogością. Z jednej strony jest to zrozumiałe, szczególnie jeśli spojrzymy na całą sprawę oczami wiekowych już dziś powstańców. Trudno im bowiem przełknąć prawdę, która mówi, że cała ta walka była kompletnie pozbawiona sensu, a decyzja dowództwa o jej podjęciu była wyrazem jego całkowitej niezdolności do wydania trzeźwego osądu.

Dlatego Powstanie Warszawskie to wciąż świętość, której nie wolno zbezcześcić choćby jednym słowem krytyki.

Nic pięknego

Komasa pokazuje wojnę w pełni jej brutalności i jest to pierwszy zabieg, za pomocą którego odcina się od „mitu młodzieńczej przygody”. Jego Powstanie nie jest w żaden sposób wyestetyzowane. Szczególnie dwie sceny zapadają w pamięć.

Pierwsza z nich pokazuje moment, w którym niemiecki pocisk artyleryjski uderza w tłum ludzi zgromadzonych na ulicy. W chwilę później, na tych, którzy przeżyli, spada krwawy deszcz ludzkich szczątków: urwanych rąk i nóg, porozrywanych korpusów i głów oddzielonych od ciał. Wszystko jest lepkie i czerwone od krwi, a ludzie bezskutecznie próbują schronić się przed makabrycznym opadem.

W drugiej scenie widzimy salę powstańczego szpitala wypełnioną stosami nagich zwłok pacjentów, nad którymi kołyszą się ciała powieszonych lekarzy i pielęgniarek. Pośród hałd trupów snują się SS-mani, którzy miotaczami ognia zamieniają je w płonące stosy. Widok poraża,

a kolorystyka sceny przywodzi na myśl czeluście piekielne. Komasa nie oszczędza wrażliwości widza, i chwala mu za to. Deestetyzuje on wojnę do tego stopnia, że z Powstania nie ostaje się nic pięknego. Ale to nie jest żadna manipulacja. Pokazuje wojnę bez retuszu, który jest jednym z ideologicznych narzędzi próbujących przemienić koszmar w sentymentalną opowieść.

Ludzie, nie herosi

Komasa odchodzi również od schematu heroizacji powstańców. Jego AK-owcy to ludzie z krwi i kości. Są waleczni, ale ulegają też panice i nastrojom beznadziejności. Wśród nich zdarzają się ludzie moralnie odrażający, którzy wśród powstańczej hekatombi próbują ugrać coś dla siebie. Jak dowódca, który oczekuje od jednej z dziewczyn tego, że odda się mu w zamian za przepustkę.

Reżyser dość dobrze odmalowuje ekstremalne emocje targające bohaterami. Nie czaruje widza, że zawsze byli oni bohaterzy i gotowi przedkładać wierność powstańcom rozkazom ponad osobiste dobro. Jest w filmie wymowna scena, w której jedna z bohaterek ściąga z ramienia powstańcą biało-czerwoną opaskę i wyciąga ze szpitala młodego chłopaka, w którym jest zakochana. Jest to, *de facto*, akt dezercji z jej strony, ale Komasa w żaden sposób go nie ocenia. Po prostu pokazuje, że w tamtych realiach, ludzie, stojąc przed dylematem „ratować bliskich – być wiernym rozkazom”, często wybierali pierwszą opcję.

Więc także w tych aspektach Komasa nie lukruje wojny. Skupia się raczej na różnorodności postaw, zachowań i uczuć, które wytwarza w bohaterach wojenna sytuacja. Odchodzi od estetyki heroizacji na rzecz realistycznego kształtowania wizerunku postaci. To następne posunięcie, za pomocą którego odcina się on od „mitu młodzińskiej przygody”.

Sekta powstańców

Wydaje się, że Komasa – jako reżyser – unika, świadomie bądź nie, oceny Powstania Warszawskiego. Ale jest w tym filmie kilka momentów, które – z jednej strony – sugerują jego krytyczny stosunek do tego zrywu i – z drugiej – są obrazami balansującymi na skraju ostrej prowokacji.

W jednym z ujęć rozradowani powstańcy prowadzą samochód, który udało im się zdobyć na Niemcach. Nie jest to czołg ani żaden inny opancerzony pojazd dysponujący znaczną siłą ognia. To raczej odpowiednik jeepa. Ich radość jest kompletnie nieadekwatna do rangi zdobyczy.

Kamera dyskretnie chwytą skalę zniszczeń ulicy oraz leżące tu i tam martwe ciała. A także nienawistne spojrzenia cywilów, dla których antyniemiecki zryw nie miał w sobie nic wzniosłego. Był za to koszmarem, za który właśnie oni zapłacili najwyższą cenę. Powstańcy umierali przynajmniej z jakimś poczuciem sensu, którego ludność cywilna w znakomitej większości nie miała. Stąd pytanie: jeden samochód za setki przerwanych żyć

i zburzonych domów – czy to dobra cena? Niełatwo odpowiedzieć.

W innej części filmu oglądamy wieczór w obozowisku powstańcom. Wśród zgłiszczy trwa impreza, bo trudno inaczej opisać to, co dzieje się na ekranie. Młodzi, nasto- i dwudziestokilkuletni ludzie piją alkohol. W ciemnych zaułkach migdała się pary. Unosi się nad tym wszystkim atmosfera jakiejś upiornej fety, jakiegoś absurdałnego krwawego karnawału, którego sens jest czytelny – albo i nie – jedynie dla jego uczestników, wtajemniczonych sekty powstańców.

Takie pokazanie Powstania jest prowokacyjne i zmusza do refleksji. Może też budzić silnie negatywne emocje, bo przez lata przyzwyczajano nas do czegoś innego: romantycznej opowieści o młodzińskim patriotyzmie, zdeptyowanym wpięty przez nazistowski, a potem przez sowiecki but. Ale właśnie takie postawienie sprawy – polegające na dekonstrukcji mitu „młodzińskiej przygody” – umożliwia podjęcie debaty – również w szkole, razem z uczniami – na temat Powstania Warszawskiego. Przy czym, ta dyskusja nie powinna skupiać się na tym, czy Powstanie – z wojskowego i politycznego punktu widzenia – miało sens. To raczej specjalistyczna kwestia dla polemologów i historyków polityki. Właściwe pytanie brzmi: jaki powinien być dzisiejszy patriotyzm i co może o nim powiedzieć nam Powstanie Warszawskie?

Patriotyzm żywych trupów

Jestem z tego pokolenia, w którym utrwalano mit Powstania Warszawskiego jako czegoś, z czego powinniśmy być dumni i co było czynem tyleż bohaterskim, co słusznym. Dziś ja – jak i wielu ludzi z mojego pokolenia – mamy obiekcyjne co do tej narracji i nie akceptujemy jej jako transparentnej i samooczywistej. W gruncie rzeczy ta wizja Powstania jest częścią tego, co kiedyś filozof i historyk religii prof. Zbigniew Mikołajko nazwał „mitem patriotycznego zombie”, który jest istotnym elementem polskiej pamięci historycznej. My, Polacy – jest w tym coś głęboko absurdałnego i smutnego jednocześnie – chętniej czcimy nasze porażki, aniżeli sukcesy.

Gdzieś w epoce Romantyzmu w naszej umysłowości wykuła się idea śmiertelnej ofiary jako najwyższego stopnia politycznego zaangażowania. I ona jest nadal żywa i silna, szczególnie w prawicowej myśli politycznej i publicystyce historycznej. Dlatego nie dziwi mnie, że to właśnie część prawicy najbardziej oprotestowuje krytyki Powstania jako „szarganie świętości”. Ale my tego „szargania” bardzo potrzebujemy, a już najbardziej potrzebuje go dzisiejsza młodzież. To ona – przepraszam za banał: jako przyszłość narodu – musi określić, jaki patriotyzm będzie jej bliski. Czy ten, który w imię idei nakazuje śmierć za przegrane sprawy, czy jakiś inny, niewymagający przemiany szerokich mas w „żywe trupy”, gotowe spłonąć na byle jakim stosie, byleby tylko powiewała na nim biało-czerwona flaga.